

Adam Ziemianin

FILM W CIEMNYCH KOLORACH

Przyjechali z wielkim hukiem do miasteczka. Huczały ich samochody, huczała cała okolica, a ponieważ film miał być przetykany scenami z okresu okupacji, w mieście pojawiły się również samochody wojskowe, działa i armaty, a także cekaemy, nie mówiąc o broni lżejszej.

Poruszenie było olbrzymie, zwłaszcza że filmowcy przyjechali nagle i niespodziewanie, pojawili się niczym grom z jasnego nieba. Miejscowa męska racja stanu z fryzjerem Grzanką na czele, najbardziej nieufna wszystkiemu, co nowe i obce, wietrzyła w tym jakiś podstęp.

– Nie ma cudów – mówił Grzanka, który przeszedł sporo i u mieszkańców miasteczka miał posłuch duży.

– Obiecują, że film będą kręcić, a to z pewnością ćwiczenia wojskowe, a może nawet częściowa mobilizacja. Widział pan, panie Jureczku, że armaty całkiem prawdziwe, nie żadne atrapy! A ile nabojów mają w skrzynkach! Mydlenie oczu... Mydlenie – fryzjer Grzanka całkiem stracił wątek rozmowy, gdy sprawa zeszała na mydlenie.

Filmowcy sprawnie składali sprzęt w Domu Zdrojowym, a mężczyźni komentowali każde ich poruszenie, gdy tymczasem kobiety szalały po sklepach. Kupowały wszystko, co się dało. Worki cukru z męską pomocą ładowano na wozy wyścielone słomą pszeniczną, to samo dotyczyło worków mąki, kaszy i ryżu. Najbiedniejsi kupowali przede wszystkim sól.

Mimo pospolitego ruszenia filmowego życie w miasteczku powoli jednak wracało do normy. Po paru dniach nawet zaczęły się nawiązywać pierwsze kontakty między filmowcami a miejscową ludnością. Działo się to głównie za sprawą Jakuba Pieleńczyka. Mówiono o nim, że za pięć groszy sukę goniłby na kraj świata. Filmowcy obiecali mu niezłą zapłatę za wynajęcie pokoju i za to, że jego żona będzie gotować obiady dla filmowych artystów. Pieleńczyk szybko i bez targowania przystał na tę propozycję, zwłaszcza, że chudo było u niego z pieniędzmi, bo wszystkie oszczędności wydał na zakup mąki, cukru, soli i kaszy w związku z paniką w miasteczku. Wymyślił nawet lepiej niż filmowcy, gdyż z dziećmi, żoną i chorą matką przeniósł się do kuchni, im zaś wynajął aż dwa pokoje. A dzieci, wśród których była i najstarsza córka, siedemnastoletnia Zuzanna, poszły spać na siano.

Niektórzy sąsiedzi ze zgorszeniem patrzyli na poczynania Pieleńczyka, nieufni nadal wobec filmowców. On jednak wszystko znosił ze stoickim spokojem. Im bardziej mu dokuczano, tym bardziej nakazywał dzieciom, zwłaszcza Zuzannie, aby były miłe dla filmowców. Pobili mu nawet w szkole syna, lecz i to przetrzymał. Po tym zajściu,

widząc, że nic nie wskórają, koledzy młodego Pieleńczyka szybko zmienili front i zaczęli wypytywać o filmowych artystów. Stary tylko pouczał swego siódmoklasistę, co ma mówić rówieśnikom.

– Przez żołądek do serca, przez dzieci do rodziców – powiadał Pieleńczyk, a jego chytre jak u lisa oczka mrugały prędko.

Synowi nie musiał wiele tłumaczyć, bo naturę miał po ojcu. Niedaleko bowiem spadło jabłko od jabłoni.

– Powiedz im, że filmowcy codziennie piją zagraniczną wódkę, a ja z nimi, że częściej mnie drogi, amerykańskimi papierosami i że dali mi całą paczkę żyletek „Wilkinson”, a jedną taką żyletką gołę się już trzeci miesiąc i wciąż jest jak nowa!

Przesadzał Pieleńczyk z tym goleniem, gdyż filmowcy dopiero drugi tydzień byli w miasteczku, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Każdy chłonał wieści filmowe z maskowaną ciekawością. Młody Pieleńczyk opowiadał więc o ich szczyrykach z kilkoma ostrzami, o aparatach filmowych i o malutkim telewizorze, który u nich widział. Rozmiękczał powoli swymi opowieściami zatwardziałą atmosferę panującą w miasteczku. Główny wpływ na pryskanie cichej zmywy miały tu pieniądze. Bajońskie sumy, jakie, według syna, zarabiał ojciec, kusity wszystkich.

Powoli, bardzo powoli, mieszkańcy miasteczka zaczęli przekonywać się do filmowców. Wiele się na to złożyło. I ludzka ciekawość, i dodatkowy zarobek przy filmie, lecz najważniejszy wpływ miało tu niecodzienne wydarzenie, którego jednym z głównych bohaterów był Pieleńczyk.

Zdarzyło się to w sobotę. Góry dymiły i nie zanosilo się na lepszą pogodę. Wilgoć gęsta kisiła się nad miasteczkiem. Pierwsze opadłe liście mocno lgnęły do asfaltu. Po nich to przeszedł Pieleńczyk z jakimś obcym człowiekiem. Razem z nieznanym skierowali się do gospody. Jakub Pieleńczyk, mimo swojego skąpstwa, lubił zaglądać do kieliszka. Jak godził te dwie wykluczające się cechy charakteru, trudno sobie wyobrazić. Często, nim jeszcze przyjechali filmowcy, można go było spotkać w sklepie spółdzielczym, gdzie kupował wódkę. Teraz, kiedy dzięki filmowi stał się bogatym mieszkańcem miasteczka, robił to znacznie częściej. Do szynku zaglądał jednak bardzo rzadko. Jego słabość do alkoholu nie wykluczała chłopskiego, zdrowego rozsądku. Po prostu nie lubił przepłacać wódki w knajpie. Stąd w gospodzie był rzadkim gościem. Najwyżej czasem wpadał na kieliszek „czystej”, klócił się, że mu nie dolano na miarę, po czym wypijał ją jednym haustem. I wychodził ocierając głowę rękawem.

Dlatego kiedy bywalcy gospody w pewną sobotę zastali go siedzącego w szynku przy półlitrowce i śledziu po japońsku, poruszenie było duże. Lecz nawet przybycie Pieleńczyka nie zbulwersowało tak mieszkańców, jak jego gość. Zasiadł on bowiem przy knajpianym stole z prawdziwym Afrykańczykiem. Jak miasteczko miasteczkiem, nikt dotychczas tego nie widział. Afrykańczyk i Pieleńczyk. Kobiety zaglądały do gospody przez okno i czyniły znak krzyża, a mężczyźni siedzieli przy stolikach i tępo się gapili. Ciasno było jak pod chórem w kościele na niedzielnej sumie. Tylko Pieleńczyk i Afrykańczyk mieli dużo miejsca, gdyż siedzieli sami, kończąc półlitrowkę.

W „Podhalance” u sufitu świeciła się żarówka, błyszczała też wyraźnie spocona łysina Pieleńczyka. Cała knajpa słuchała, o czym rozmawiają, choć wszyscy udawali, że zajęci są bardzo swoimi sprawami. Chłopi byli napięci, że nawet wypita wódka nie wchodziła im do głowy, zaś bufetowa Stasia, pulchna panna, mniej była skupiona, napełniając kieliszki wódką i kufle piwem.

– Panie Murzyn, pan też będzie grał w tym filmie? – zapytał Pieleńczyk.

– Tak! Ja by prosić, aby pan do mnie mówił Tom, a nie Murzyn.

– Dobrze, panie Tomku! Miło mi będzie... Więc pan mówi, że jest pan z samej Afryki?

– Ja student medycyna w Polsce. Mnie tu się podoba. Ja będę grać w filmie. Ja potrzebny duży epizod.

– E! To pan Murzyn bardzo zdolny! A nie mógłby pan coś poradzić na moje gardło, boli mnie nawet w lecie.

– Prosiłem o Tom...

– Wypijmy jeszcze.

Mężczyźni przy sąsiednich stolikach również sięgnęli po kieliszki i wypili z namaszczaniem. Nawet Zenon Krzak, listonosz, mimo dokuczliwego wrzodu na żołądku, sięgnął po wódkę. Bufetowej z obfitych piersi tryskała radość życia. Cierpiała z powodu swego wybujałego biustu, zwłaszcza że pracowała wśród samych mężczyzn, a ci, taksując ją zabórczym spojrzeniem, koncentrowali swój pijany wzrok na jej piersiach. Niektórzy próbowali nawet ją obłapiać. Dziś była szczęśliwa, bo nikt nie skupiał się na niej, wszyscy natomiast bacznie obserwowali Toma. On nawet nie zwracał na to uwagi, tylko sprytnie wypijał wódkę za wódką, trącając się wcześniej z Pieleńczykiem.

– Na zdrowie!

– Na zdrowie, panie Murzyn.

– Ja prosiłem o Tom.

– O przepraszam, panie Tomku. A zna się pan na migdałkach?

Pieleńczyk, który już poczuł wypitą wódkę, ośmielony otworzył usta, zbliżając się do Toma, ale jego wcale nie zaciekało wnętrze gęby kompana, więc ten ustąpił i zamknął się. Zaczął rozglądać się po sali. Był szczęśliwy i nie próbował tego ukryć. Jego przymglone od alkoholu oczy zdawały się mówić: patrzcie i podziwiajcie! Oto piję z Tomem, prawdziwym przedstawicielem czarnej rasy. Gdy zechcę, mogę go nawet klepnąć w ramię. I aby się upewnić, z całej siły klepnął otwartą dłońią barczyste ramię Toma. Ten w uśmiechu pokazał białe zęby i wypili po kieliszku, osuszając całkowicie butelkę.

Tylko na krótko stół pozostał pusty, bo Pieleńczyk już zażądał nowej flaszki. Życzenie w mig zostało spełnione i na stole przycupnęła nowa porcja alkoholu. Tom zaczął grzebać w kieszeni, jakby czegoś szukał. Pieleńczyk od razu domyślił się, że chodzi o pieniądze, aby dopłacić do rachunku, więc szybko wyperswadował egzotycznemu towarzyszowi biesiady, żeby się nie wygłupiał, bo on ureguluje cały rachunek. Powiedział jeszcze, że Polska słynęła i słynie z gościnności i nie ma o czym mówić. Żeby zakończyć całą sprawę Pieleńczyk zacytował powiedzenie: „Gość w dom, Bóg w dom”.

Wtedy Tom wyraźnie skapitulował. Wyjął nawet rękę z kieszeni, w której trzymał białą chusteczkę i wytarł spoconą twarz.

Na stole wylądowały miętko, dzięki uprzejmości bufetowej, dwa nowe śledzie po japońsku. Na widok skośnookich gości fundator zaczął protestować, że przyszedł do gospody pić wódkę, a nie objadać się, lecz gdy Tom sięgnął po nóż i widelec, spuścił z tonu. I żeby załagodzić niemiłą atmosferę, poprosił, aby wymieniono mu „japończyka” na śledzia po węgiersku. Zapytał też Toma z głupia frant, czy w czarnej Afryce są śledzie po japońsku. Tom próbował coś tłumaczyć, lecz mówił bardzo enigmatycznie, tak że Pieleńczyk nie doczekał się odpowiedzi. Napełnił więc, ratując sytuację, kieliszki wódką. Nie czynił tego już tak zręcznie jak na początku. Żytnia z kłosem częściowo wylała się na obrus, a restauracyjne kwiaty jeszcze bardziej zamknęły się w sobie.

Tom z Pieleńczykiem mówili coraz głośniej. Zresztą wszyscy się ożywili. Wyczuwało się, że sala sympatyzuje z Tomem. Wkrótce do stolika z egzotycznym gościem podszedł grabarz Barnej. On pierwszy zdecydował się przerwać zamknięty krąg. W rękę trzymał dwie wódki.

– Panie Murzyn! Wypij pan ze mną! Zawód mam niewdzięczny, ale przecież ktoś to musi robić! Prawda? – Barnej podał kieliszek Tomowi.

Wypili. Nagle napięcie ustąpiło. Wszystkie lody puściły. Każdy chciał wypić wódkę z Tomem, aż Pieleńczyk wziął go w obronę.

– Upijcie mi do spodu gościa! Dajcie spokój! Przecież można pogadać bez wódki! A Tomek ma tyle ciekawego do opowiedzenia.

– Skoro tak, to pytam – powiedział pijany Kalika – czy to prawda, że Murzyni mają czarne podniebienie? – popatrzył na wszystkich z triumfem, dumny, że udało mu się zadać tak podchwytliwe pytanie.

Lecz Tom nie dał już żadnej odpowiedzi. Błądził mętnym wzrokiem po zebranych. Pieleńczyk ostatkiem sił wyprowadził kompana na ulicę i serdecznie objęci poszli w stronę domu.

Po tym niecodziennym wydarzeniu w gospodzie wiele zmieniło się w miasteczku. Filmowcy wszędzie byli mile widziani. Ludzie zaczęli zarabiać jako statyści. Mężczyzn charakteryzowano na partyzantów. Nawet fryzjer Grzanka przekonał się do filmowców, a że słabo jeździł na koniu, w filmie wcielił się w pieszego partyzanta. Tacy też byli potrzebni.

Dopiero po dwóch latach od wyjazdu filmowców, kiedy to wydawało się, że już wszyscy zapomnieli o filmie kręconym w naszym miasteczku, trafił on do naszego kina. Nawet mieszkańcy, którzy od zarania przeciwni byli sztuce filmowej, tym razem gościli na każdym seansie. Pieleńczyk zawsze siedział w pierwszym rzędzie. Tylko jego córka Zuzanna nie mogła iść do kina. Musiała bawić synka, którego zostawili jej filmowcy...